Edgar Allan Poe

Berenice

Publikacja zrealizowana
w ramach projektu WolneLektury.pl

Edgar Allan Poe

Berenice

Publikacja zrealizowana
w ramach projektu WolneLektury.pl

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Berenice

Dicebant mihi sodales, si sepulchrum amicae visitarem, curas meas aliquantulum fore levatas.[1]

Ebn Zaiat

Nieszczęście ma postać rozmaitą. Wielokształtna jest marność tej ziemi. Na wzór tęczy, rozpostarta ponad rozległym widnokręgiem posiada barwy tak samo różnorodne, tak samo poszczególnie odmienne, a przecież tak samo ścisłym spojone węzłem. Rozpostarta nad rozległym widnokręgiem na wzór tęczy! Jakim sposobem godło piękna mogłem przedzierzgnąć w symbol brzydoty? Ze znamienia zgody i pokoju uczynić smutkom przenośnię? Lecz jako w świecie etycznym złe jest wynikiem dobrego, tak samo w świecie rzeczywistym z radości rodzą się bóle. Albo wspomnienie minionego szczęścia rozpaczą napełnia dzień dzisiejszy, albo męka, *która się staje*, ród swój wywodzi od uniesień, *które stać się mogły*.

Zamierzam opowiedzieć zdarzenie, którego treść jest pełna zgrozy. Przemilczałbym je chętnie, gdyby nie było raczej kroniką wrażeń niż zdarzeń. Na imię mam Egeusz, nazwisko — pominę milczeniem. Nie ma w kraju pałacu bardziej obarczonego sławą i wiekiem niż moje melancholijne i stare gniazdo rodzinne. Ród nasz od dawna przezywano rodem wizjonerów, i rzeczywiście, w niektórych zastanawiających szczegółach — w charakterze naszego magnackiego domu — we freskach głównej sali — w obiciach komnat sypialnych, w rytowniczych ozdobach słupów zbrojowni, a przede wszystkim w galerii starych obrazów, w zewnętrznym pozorze biblioteki i wreszcie

w zgoła osobliwej zawartości owej biblioteki — tkwi coś, co aż nadto usprawiedliwia owo mniemanie.

Wspomnienia moich lat młodocianych wiążą się ściśle z ową komnatą i jej foliałami[2], których treść zgoła przemilczę. Tam właśnie umarła moja matka. Tam właśnie przyszedłem na świat. Wszakże nadaremnie by twierdzono, żem nie istniał uprzednio — że duch mój nie posiadał trwania przedstworzennego. Przeczycie temu? Poniechajmy wszelkich pod tym względem sporów. Mam przekonanie osobiście i nie zamierzam przekonywać innych. Istnieje zresztą pewne wspomnienie kształtów bezcielesnych, oczu niewidzialnych a wymownych, dźwięków melodyjnych, a pełnych melancholii — wspomnienie, które się wzbrania wszelkim odlotom, rodzaj pamięci podobnej do mętnego, zmiennego, nieokreślonego cienia, i dopóki mój duch będzie słoneczniał, dopóty nie mogę się zgodzić na rozłąkę z tym cieniem, który jest rzeczywistością.

W tej właśnie komnacie przyszedłem na świat. Z odmętów długiej nocy, która miała pozór, lecz nie była nicością, wyłoniłem się po to, aby wkroczyć nagle w krainę baśni, w pałacowe przepychy fantazji, w dziwaczne dziedziny myśli i wiedzy klasztornej. Nie dziw tedy, że przerażonym a płomiennym wzrokiem badałem świat dookolny, że dzieciństwo spędziłem wśród ksiąg, a młodość roztrwoniłem na marzeniach; lecz zastanawia ta okoliczność, że gdy lata upływały i południe dojrzałego wieku zastało mnie jeszcze żywcem w gnieździe mych przodków — zastanawia, powtarzam, ta okoliczność, że bijące źródła mojego życia zaprawiły się nagłym zastojem, że w kierunku najwłaściwszego mi myślenia stał się przewrót zupełny. Zjawiska rzeczywistości potrącały o mnie jak sny i tylko jako sny, podczas gdy szaleńcze pomysły z krainy snów stały się w zamian nie tylko strawą mego codziennego istnienia, lecz stanowczo jedynym i całkowitym istnieniem w samym sobie.

Z Berenice łączyły mnie węzły pokrewieństwa i wzrastaliśmy razem w gnieździe ojczystym. Lecz wzrastaliśmy odmiennie, ja — chorowity i spowinięty[3] w melancholię, ona zwinna, urocza i obdarzona nadmiarem sił żywotnych; jej dziełem była włóczęga po wzgórzach, moim — samotnicze zgłębianie ksiąg; jam żył sam w sobie, ciałem i duchem oddany najusilniejszym i najmozolniejszym rozmyślaniom — ona bez troski szła przez życie, nie myśląc o cieniach tkwiących na drodze i o niemym odlocie kruczo oskrzydlonych godzin.

Berenice! Wymawiam jej imię — Berenice! — i ze zmurszałych ruin mej pamięci na skinienie tego dźwięku wynika tysiąc burzliwych wspomnień!

Ach, postać jej żywcem stoi mi w oczach, jak w pierwszych dniach naszych uniesień i naszego wesela! O, wspaniałe, a jednak fantastyczne piękno, o, sylfida[4] z gajów arnheimskich! O, najada[5] wpośród kaskad! A potem — a potem wszystko staje się tajemnicą i zgrozą, powieścią, która się nie chce wypowieścić. Choroba, choroba złowieszcza dopadła jej ciała jak samum[6] i nawet wówczas, gdy ją oglądałem, duch przemian snuł się po niej i opanowywał ją, przenikając na wskroś jej duszę, jej nawyknienia, jej charakter i skłócając w sposób najniepochwytniejszy i najstraszliwszy nawet tożsamość jej istoty! Niestety, oprawca przyszedł i odszedł, lecz ofiara, lecz istotna Berenice — kędyż się podziała? Tej, która trwała, nie znałem, a w każdym razie nie poznawałem już w niej Berenice.

Nieodparta i zasadnicza niemoc, która tak straszliwym przewrotem dotknęła jej ciała i ducha, przyprawiała ją jednocześnie o liczny szereg chorób. Wśród nich muszę wymienić, jako najsmutniejszy i najuporczywszy objaw, rodzaj epilepsji, która często kończyła się katalepsją[7] — katalepsją mającą całkowity pozór śmierci, a z której Berenice ocykała się niekiedy gwałtownym i nagłym ocknieniem.W tym samym czasie moja choroba — gdyż zdaniem ogólnym[8] nie

mogłem innym nazwać jej imieniem — moja choroba wzrastała[9] szybko i, wskutek pogorszenia objawów pod wpływem nadużycia opium, nabrała ostatecznie cech nowej i niezwykłej monomanii, z godziny na godzinę, z minuty na minutę szerzyła się z większą mocą i wreszcie pozyskała nade mną zbyt osobliwą i niepojętą władzę. Monomania owa, jeśli koniecznie mam używać tej nazwy, polegała na chorobliwej podnietliwości władz umysłowych, które język filozoficzny określa słowem: uwaga. Jest to bardziej niż prawdopodobne, że nie jestem zrozumiały[10], lecz obawiam się doprawdy, że zgoła nie potrafię udzielić przeciętnemu czytelnikowi dokładnego pojęcia o tym nerwowym *natężeniu baczności*, dzięki której zdolności myślenia — że uniknę tutaj fachowej terminologii — skupiały się i zaprzepaszczały w oglądaniu najcodzienniejszych przedmiotów.

Niestrudzone i wielogodzinne rozmyślania z uwagą przykutą do byle jakiego błahego przypisu na marginesie lub w tekście książki, skupione tkwienie duchem przez większą część dnia letniego w dziwacznym cieniu, który ukosem wydłużał się na ścianach lub na podłodze, zapamiętałe przez noc całą wpatrywanie się w sztywny płomień lampy lub w żużle kominka, całodzienna zaduma o woni jakiegoś kwiatu, jednostajne powtarzanie jakiegokolwiek potocznego słowa aż do chwili, gdy jego dźwięk pod przemocą powtarzań przestawał udzielać myślom jakiejkolwiek treści, zatracanie wszelkiego poczucia ruchu lub istnienia fizycznego za pomocą bezwzględnych i uporczywie przedłużanych znieruchomień — oto niektóre z najogólniejszych i najmniej groźnych zboczeń mego umysłu, zboczeń, które z pewnością nie były całkiem pozbawione uzasadnień, lecz bezwarunkowo urągały wszelkim tłumaczeniom i wszelkiej analizie.

Jeszcze jeden szczegół — chcę bowiem, aby mnie dobrze zrozumiano. Nienormalna, natężona i chorobliwa uwaga, budzona błahymi skądinąd przedmiotami, posiada tego rodzaju pozory, iż nie należy jej mieszać z właściwą każdemu człowiekowi skłonnością do marzeń,

którym przede wszystkim hołdują osoby obdarzone płomienną wyobraźnią. Nie tylko nie jest ona, jak to można na pierwszy rzut oka przypuścić, najwyższym stopniem i wyolbrzymieniem owej skłonności, lecz przeciwnie, posiada źródłowe i rdzenne różnice. W pierwszym przypadku marzyciel, posiadacz wyobraźni, pociągnięty przedmiotem zazwyczaj niebłahym, z wolna traci z oczu ów przedmiot pod nawałą wysnutych zeń wniosków i napomknień tak, że przy końcu swych marzeń, *częstokroć pełniących się rozkoszą*[11], całkowicie zatraca i zapomina pobudkę, czyli pierwoprzyczynę zadumy. W moim zaś wypadku punkt wyjścia bywa *stale błahy*, chociaż w środowisku chorobliwych przywidzeń nabiera urojonej i widmowej doniosłości. Wniosków wyprowadzam mało, jeśli je w ogóle wyprowadzam i w danym razie zdążają one powrotnie do głównego przedmiotu jak do ogniska. Zaduma *nigdy* nie dostarcza rozkoszy i przy końcu marzeń pierwsza pobudka, daleka od zniknięcia mi z oczu, dosięga tej nadprzyrodzenie wyolbrzymiałej baczności, która stanowi główną cechę mej choroby. Słowem, władza umysłowa, która we mnie szczególniejszej podlega podniecie, jest zdolnością uwagi, podczas gdy u zwykłego marzyciela jest ona — zadumą.

Książki, które w tym okresie czasu[12] czytałem, jeśli nie syciły bezpośrednio mej choroby swą treścią, w każdym razie, jak to łatwo zgadnąć, swym kierunkiem marzeniowym i bezrozumnym zadość przytakiwały głównym cechom samej choroby. Przypominam sobie bardzo dokładnie między innymi traktat dostojnego Włocha Coeliusa Secundusa Curiona *De Amplitudine Beati Regni Dei* — wielkie dzieło świętego Augustyna pt. *Gród Boży*[13] oraz *De Carne Christi* Tertuliana, którego niepojęte zdanie: *Mortuus est Dei filius, credibile est quia ineptum est; et sepultus resurrexit, certum est quia impossibile est*[14] — pochłonęło wyłącznie całą moją usilność w ciągu kilku tygodni pilnych i bezpłodnych badań.

Ci i owi bez wątpienia pomyślą, że mój rozum, tracący równowagę pod wpływem błahostek, był poniekąd pokrewny owej skale morskiej,

o której Ptolemeusz Hefestion opowiada, że opierała się niewzruszenie wszelkim napaściom ludzkim i straszliwszym jeszcze wściekłościom wałów wodnych i wichrów, a drżała jedynie pod dotykiem kwiecia zwanego asfodelą. Umysł mało spostrzegawczy uważałby za rzecz zgoła prostą i niewątpliwą, że straszliwa zmiana, która pod wpływem nieszczęsnej choroby zaszła w stanie *duchowym* Berenice, winna była dostarczyć mi niejednej pobudki do owych natężonych i nienormalnych rozmyślań, których istotę z pewnym trudem odsłoniłem. Otóż nic podobnego nie miało wcale miejsca. W przestankach mojej choroby jej klęska sprawiała mi wprawdzie ból, często i z goryczą rozmyślałem o tajemniczych i dziwnych drogach, na których mógł się odbyć tak cudaczny i nagły przewrót. Lecz rozmyślania owe nie miały nic wspólnego z idiosynkrazją[15] mej choroby; były tego rodzaju, że mogłyby w podobnych okolicznościach nawiedzić pierwszego lepszego śmiertelnika. Co się tyczy choroby, wiernej swym własnym zamysłom, znalazła ona strawę w zmianach mniej ważnych, lecz bardziej uderzających, które się zaznaczyły w istocie *fizycznej* Berenice w szczególnym a straszliwym rozprzężeniu jej tożsamości osobistej. W najsłodszych dniach rozkwitu jej nieporównanego piękna nie kochałem jej nigdy, jestem tego aż nadto pewien. W moim dziwacznie zboczonym życiu nie doznawałem *nigdy* uczuć z serca pochodzących i namiętności moje *zawsze* wylęgały się w mrokach rozumu. Poprzez biel zmierzchową — w południe, wpośród zwikłanych cieniów leśnych, i nocą w ciszy mej biblioteki — jawiła się mym oczom i oglądałem ją — nie jako Berenice żywą i dyszącą, lecz jako Berenice w snach przywidzianą, nie jako istotę ziemską, istotę cielesną, lecz jako widmo owej istoty — nie jako zdobycz ukochań, lecz jako powód do rozmyślań tyluż zawiłych, ile błędnych. A *obecnie* — obecnie drżałem na jej widok, bladłem, gdy się zbliżała. Wszakże, gorzkim lamentem opłakując w duchu jej zgubę, pomny byłem na to, że kochała mnie długo, i w złej chwili napomknąłem jej o ślubie. Zbliżał się wreszcie dzień naszego ślubu, gdy w zimowe popołudnie, podczas jednego z tych samozwańczo ciepłych, cichych i omglonych dni, które niańczą piękną Halcyonę — siedziałem, sądząc

się samotnym[16], w gabinecie bibliotecznym. Lecz, uniósłszy wzwyż oczu, postrzegłem Berenice, która stała przede mną.

Byłże to skutek zbyt rozżarzonej wyobraźni, czy też wpływ mgieł dookolnych, czy raczej działanie mętnych zmierzchów komnaty — lub może oblekająca jej ciało mglista szata udzieliła drżenia i nieokreśloności zarysom jej postaci? Nie umiem na to odpowiedzieć. Być może urosła od czasu swej choroby. Nie rzekła ani słowa, ja zaś za nic w świecie nie chciałem uronić jednej zgłoski. Zimny dreszcz przeniknął moje ciało, przytłoczyło mnie uczucie trwogi nie do zniesienia. Pochłonna ciekawość ogarnęła mą duszę i na opak odwróciwszy się w fotelu, trwałem czas pewien bez tchu i bez ruchu, ze wzrokiem przykutym do tej osoby. Niestety zmarniała doszczętnie i ani jeden pozór jej dawnego kształtu nie przetrwał i nie przechował się w ani jednym zarysie postaci. Wreszcie wzrok mój żarliwie zdążył do jej twarzy. Czoło wysokie i bardzo blade jaśniało niezwykłym spokojem, a włosy niegdyś czarne jak węgiel przesłaniały je częściowo i ociemniały zapadłe skronie bezlikiem kędziorów, obecnie znojnie złocistych, których powab fantastyczny wyprzysięgał się uparcie panującej na obliczu melancholii. Oczy były bez życia i bez blasku, jak gdyby pozbawione źrenic, tak że mimo woli odwróciłem się od ich szklistych znieruchomień, aby przenieść wzrok na zwężone i pokurczone wargi. Te rozwarły się i w dziwnie porozumiewawczym uśmiechu odsłoniły z wolna mym oczom *zęby* tej nowo powstałej Berenice. O, gdybyż Bóg zwolił, abym ich nigdy nie widział lub, raz ujrzawszy, skonał!

Zaniepokoił mnie skrzyp drzwi zamykanych i, podnosząc oczy, stwierdziłem, że moja krewna opuściła alkowę. Lecz białe, straszne widmo jej zębów nie opuściło i nie chciało opuścić obłąkanej alkowy mego mózgu. Nie było ani jednego szczerbu na ich powierzchni, ani

jednej skazy na ich emalii, ani jednej *cętki* na ich krawędzi, której by ów uśmiech przelotny nie zdążył zakarbować w mej pamięci!

Teraz właśnie widziałem je daleko wyraźniej *niźli* przed chwilą. — Zęby! — Zęby! — Były tu, były tam — były wszędzie — widzialne, namacalne, tuż przede mną. Długie, wąskie i niezwykle białe z pokurczonymi wokół bladymi wargami, które rozwarły się straszliwie, jak to czyniły uprzednio. Wówczas szał mej monomanii objawił się w pełni i nadaremnie borykałem się z jej niepokonanym i cudacznym wpływem. Wśród niezliczonych przedmiotów świata zewnętrznego nie znalazłem dla swej myśli innej ostoi prócz owych zębów. Pałałem ku nim żądzą rozszalałą. Wszelkie przedmioty, wszelką ku różnym rzeczom ciekawość pochłonął ten jedyny sen o zębach. One i tylko one stały przed oczami mego ducha i ich wyłączna odrębność przedzierzgnęła się w treść mego życia duchowego. Po całych dniach miałem je w oku. Oglądałem je na wszelkie sposoby. Badałem ich swoistość. Wypatrywałem ich szczególne oznaki. Rozmyślałem o ich kształcie. Zastanawiałem się nad zmiennością ich natury. Drżałem w chwili, gdy w wyobraźni przypisywałem im wrażliwość i uczuciowość, a nawet zdolność odzwierciedlania stanów ducha bez pomocy ust. Bardzo trafnie powiedział ktoś o pannie Salle, że *każdy jej krok był wzruszeniem*, w stosunku zaś do Berenice byłem głębiej jeszcze przeświadczony, że *każdy jej ząb był zagadką*. Zagadką! — Oto myśl niedorzeczna, która mnie zgubiła! *Zagadką!* — Oto więc przyczyna, dla której tak obłędnie pożądałem tych zębów! Czułem, że jedynie posiadanie ich może mi przywrócić spokój i rozum.

I tak zadumanego dosięgnął mnie wieczór — i cienie przyszły, utrwaliły się i odeszły, nastał dzień nowy i mgły następnej nocy spiętrzyły się wokół mnie — a ja wciąż trwałem nieruchomy w tej komnacie samotnej, wciąż w postawie siedzącej, wciąż pogrążony w zadumie — i wciąż *widmo* zębów dzierżyło swą władzę straszliwą z najżywszą i najpotworniejszą wyrazistością, majacząc tam i sam wskroś zmienne światła i cienie komnaty. I wreszcie wśród ostępów

mych marzeń rozległ się wielki krzyk zgrozy i przerażenia, i po krótkiej chwili nastąpił po nim zgiełk głosów złamanych, przerywanych głuchymi jękami bólu czy też żałoby. Wstałem, i otworzywszy drzwi biblioteki, znalazłem w sieni sługę całą we łzach, która mi oświadczyła, że Berenice już nie żyje! Epilepsja zaskoczyła ją nad ranem i teraz z nadejściem nocy mogiła wyczekiwała swej przyszłej mieszkanki, i wszystkie przedwstępne do pogrzebu czynności były już dopełnione.

Z sercem pełnym trwogi i obarczony obawami, z odrazą podążyłem do sypialni zmarłej. Pokój był obszerny i bardzo ciemny i na każdym kroku potykałem się o sprzęty pogrzebowe. Kotarami łóżka, jak mi rzekł służący, osłonięto trumnę i w tej trumnie, jak dorzucił głosem cichym, tkwiło to wszystko, co zostało z Berenice. Któż to był, co się mnie spytał, czyli chcę widzieć zwłoki? Nie postrzegłem, aby się poruszyły czyjekolwiek wargi. A jednak pytanie zadane było wyraźnie i echo ostatnich zgłosek trwało jeszcze w komnacie. Nie mogłem dać odpowiedzi odmownej i z uczuciem zgnębienia przywlekłem się do krawędzi łoża. Uchyliłem z lekka posępnych fałd zasłony, lecz, umknąwszy mym dłoniom, spadły mi na plecy i, dzieląc mnie od świata żyjących, zespoliły mnie najściślejszym węzłem komunii ze zmarłą.

Całe wnętrze komnaty tchnęło śmiercią, lecz osobliwy zaduch trumny przyprawiał mnie o zawrót głowy i zdawało mi się, że śmiertelne wyziewy dobywają się już z trupa. Oddałbym świat cały za możność ucieczki, za możność pozbycia się jadowitych wpływów śmierci, za jeden choćby łyk świeżego powietrza, zaczerpniętego z wiecznotrwałych niebiosów. Lecz nie miałem już sił poruszyć się z miejsca, kolana uginały się pode mną i wrosłem, zda się, w ziemię,

nieruchomo wpatrując się w sztywnego trupa, poległego wzdłuż na dnie rozwartej trumny.

Boże w niebiosach! Czyliż to możliwe? Czy rozum mi się obłąkał, czy też palec zmarłej zakrzątnął się w białym płótnie, które ją oblekało? Zdjęty dreszczem niewypowiedzianego strachu, uniosłem z wolna oczu, aby się w twarzy trupa rozejrzeć. Opaską przewiązano mu szczęki, lecz nie wiem, jakim sposobem opaska zdołała się rozwiązać! Zsiniałe wargi kurczyły się w rodzaj uśmiechu i spoza ich posępnej ramy białe, połyskliwe, straszne zęby Berenice *wpatrywały* się we mnie, aż nadto jeszcze żywe w swej nieodpartej jawie. Konwulsyjnie odrzuciłem się od łoża i, nie mówiąc ani słowa, uciekłem jak szalony z tego przybytku tajemnicy, zgrozy i śmierci.

Ujrzałem się znów w bibliotece. Trwałem siedząc — byłem sam. Zdawało mi się, że ocknąłem się z mętnych i niespokojnych snów. Postrzegłem, że była północ, a przyłożyłem wszelkich zabiegów, aby Berenice pochowano po zachodzie słońca. Lecz nie zachowałem dość trwałego i dość określonego wspomnienia tych zdarzeń, które zaszły w tej posępnej przerwie. A mimo to wspomnienia owe pełne były zgrozy, zgrozy tym straszliwszej, że nieokreślonej, przerażeń tym straszliwszych, że mglistych. Była to jakby krwawa karta w kronice mego istnienia, zapisana od końca do końca wspomnieniami ciemnymi, potwornymi i niepojętymi. Starałem się ją odcyfrować, lecz na próżno. Wszakże od czasu do czasu, na kształt duszy przebrzmiałego dźwięku, zdawał się dzwonić w mych uszach krzyk słaby i przenikliwy — krzyk kobiecy. Popełniłem coś co się już nie odstanie — lecz cóż by to było? Głośno zadawałem sam sobie owo pytanie i echo komnaty szeptało w odpowiedzi: cóż by to było?

Na stole przede mną płonęła lampa i w jej pobliżu stała mała szkatułka hebanowa. Styl tej szkatułki nie był godzien uwagi i już ją częstokroć widywałem, ponieważ była własnością lekarza domowego. Lecz jakim trafem zjawiła się *tu*, na moim stole, i czemu drżałem na jej widok. Były to błahostki, na które nie warto zwracać uwagi, lecz

wzrok mój upadł wreszcie na kartę jednej księgi otwartej i na zdanie podkreślone. Były to osobliwe, lecz proste słowa poety Ebna Zaiata:

Dicebant mihi sodales, si sepulchrum amicae visitarem, curas meas aliquantulum fore levatas. Czemuż, gdym słowa te czytał, włosy zjeżyły mi się na głowie i krew zastygła w mych żyłach?

Zapukano z lekka do drzwi biblioteki i, blady jak przybysz z tamtego świata, wszedł na palcach służący.

Oczy miał obłąkane przerażeniem i rzekł mi coś głosem bardzo cichym, drżącym i zdławionym. Co mi powiedział? Posłyszałem kilka zdań na chybił trafił wyrwanych. Powiedział, jak mi się zdaje, że straszliwy krzyk zakłócił ciszę nocną — że zbiegła się cała służba, że podążono w ślad za owym dźwiękiem — i w końcu głos jego stał się wyraźny aż do stopnia zgrozy, gdy mówił mi o pogwałceniu grobu, o zwłokach zeszpeconych, odartych z całunu, lecz jeszcze dyszących — jeszcze drgających, *żywych jeszcze*!

Spojrzał na moje szaty — były zbryzgane błotem i krwią. Nie mówiąc ani słowa ujął mnie za rękę — zdradzała ślady paznokci ludzkich. Skierował moją uwagę na pewien przedmiot tkwiący u ściany. Przyglądałem mu się przez minut kilka: był to rydel. Z krzykiem dopadłem do stołu i pochwyciłem szkatułkę hebanową, lecz zabrakło mi sił, aby ją otworzyć. Wymknęła mi się z drżących rąk, upadła ciężko i stłukła się na kawałki — i wypadło z niej, tocząc się z wrzaskliwym szczękiem żelastwa, kilka narzędzi dentystycznych; a wraz z nimi trzydzieści dwa drobne, białe, barwy kości słoniowej przedmioty, które rozsypały się po podłodze.

Przypisy:

[1] *Dicebant mihi sodales (...) levatas* — Mówili mi towarzysze, że, gdybym odwiedził mogiłę kochanki, ulżyłbym nieco mym smutkom.

[2] *foliał* (z łac. *folium*: liść) — stara księga wielkich rozmiarów (o formacie arkusza złożonego na pół, czyli ok. 40 na 50 cm.; dziś format taki oznacza się jako A2).

[3] *spowinięty* — dziś popr.: spowity.

[4] *sylfida* — dziewczyna zamieniona po śmierci w żeńską odmianę sylfa (czyli ducha powietrza wg w średniowiecznych legend); przen. pełna wdzięku i gracji kobieta, często: tancerka. Postać ta stała się bardzo popularna w okresie romantyzmu po paryskiej premierze w 1832 r. baletu *Sylfida* z librettem Adolphe'a Nourrita na podst. opowiadania Ch. Norgiera *Trilby ou le Lutin d'Agail* (Chochlik z Agryll), muzyką Jeana Schneitzhöffera i choreografią Filippo Taglioniego.

[5] *najada* (mit. gr.) — nimfa opiekująca się wodami nieoceanicznymi: jeziorami, źródłami, wodospadami, rzekami itp.

[6] *samum* — gorący i suchy, pustynny wiatr płd. występujący w Afryce Płn. i na Półwyspie Arabskim, wywołujący burze piaskowe.

[7] *katalepsja* — specyficzne zesztywnienie mięśni powodujące zastyganie ciała często w nienaturalnej pozycji, przy czym niekiedy

ciało pozostaje elastyczne, inaczej niż w przypadku śmierci, i daje się odginać, jednak następnie wraca do pozycji, w której zastygło.

[8] *zdaniem ogólnym* — według powszechnego mniemania.

[9] *choroba wzrastała* — dziś popr.: choroba rozwijała się.

[10] *nie jestem zrozumiały* — dziś popr. nie mówię w sposób zrozumiały.

[11] *pełniący się rozkoszą* — napełniający się rozkoszą.

[12] *w tym okresie czasu* — tautologizm (czyli pot.: „masło maślane"); dziś popr.: w tym czasie.

[13] *Gród Boży — De civitate Dei*; historiozoficzne dzieło Augustyna z Hippony (354–430), jednego z tzw. ojców kościoła. Dziś przyjęto, że łaciński tytuł tłumaczy się jako: *O państwie Bożym*.

[14] *Mortuus est (...) quia impossibile est* (łac.) — Umarł syn Boży, jest to prawdopodobne dlatego właśnie, że niedopuszczalne; i pogrzebiony zmartwychwstał, jest to pewne dlatego właśnie, że niemożliwe.

[15] *idiosynkrazja* (z gr. *idios*: własny, osobisty i *synkrasis*: mieszanina) — szczególny, indywidualny nawyk czy właściwość osoby lub społeczności, często wyrażająca odmienność, ekscentryzm lub osobliwość; także: wstręt, niechęć, nadwrażliwość, alergia.

[16]

sądząc się samotnym (daw.) — dziś popr. składnia: sądząc, że jestem samotny.